

## ROZDZIAŁ 1

---

Spojrzała na mnie, schodząc za mężem po frontowych schodach. Miała w sobie coś bardzo niezwykłego, posłała mi jednak tak zniewalający uśmiech, że zapomniałem, co to było. Dopiero po prawie trzech miesiącach zrozumiałem, o co chodziło, ale wtedy moje życie zawaliło się jak licha dekoracja teatralna.

Była drobna i szczupła i miała równo przycięte popielate włosy. Tego dnia włożyła bluzkę z krótkim rękawem w najbledszym z możliwych odcieni żółci oraz szare spodnie z podwyższoną talią. Ale to jej szelmowski uśmiech i filuternie zmrużone oczy tak na mnie podziały – jakby dawała mi znać, że dzieli ze mną jakąś tajemnicę.

– Hej, Lalo, gdzie mam to postawić? – zawołała z kuchennego aneksu Margot.

– Co postawić? – zapytałem, nadal obserwując nieznajomą blondynkę, która właśnie przechodziła przez ulicę.

– To coś, co wygląda jak gaśnica.

– To nie gaśnica, ale mój dozownik do ciasta.

Margot weszła do salonu, patrząc na mnie z niedowierzaniem.

– Dozownik do ciasta?

– Tak. Życ bez niego nie mogę. Dzięki niemu wychodzą mi idealnie okrągłe naleśniki. Co prawda są tak samo gumowate, ale przynajmniej okrągłe.

– Lalo, czasami naprawdę mnie zadziwiasz.

Było ciepłe popołudnie pierwszego dnia września. Siedziałem z butelką zimnego Michelob Amber w oknie swojego mieszkania na drugim piętrze przy St Luke's Place, obok parku imienia Jamesa J. Walkera w Greenwich Village – zrobiłem sobie właśnie przerwę w ustawianiu regałów. St Luke's Place była ulicą kamienic w stylu włoskim, z fasadami z piaskowca, kolumnowymi portykami i gazowymi latarniami.

Wprowadziłem się tu przed trzema dniami i zaczynałem podejrzewać, że nigdy nie uda mi się urządzić, nawet z pomocą Margot. W korytarzu stały trzy skrzynie po herbacie, wypełnione książkami, partyturami, zdjęciami i emaliowanymi rondlami. Sypialnię zastawiono walizami wypchanymi ubraniami oraz kartonami z ręcznikami i kompaktami. Nigdy wcześniej nie sądziłem, że mam aż tyle gratów. Mój ojciec często mawiał: „Synu, nie można mieć wszystkiego, bo gdzie byś to postawił?”.

Margot otworzyła sobie piwo i dołączyła do mnie. Była małą brunetką w typie Betty Boop\* z wielkimi brązowymi

---

\* Betty Boop – postać z amerykańskich kreskówek Maksa Fleischera, pioniera filmu animowanego (m.in. stworzył słynnego marynarza Popeye'a). Narodziła się na początku lat 30. XX wieku i dzięki erotycznym aluzjom zawartym w jej zachowaniu szybko została okrzyknięta pierwszym animowanym symbolem seksu.

oczami i odrzuconymi do tyłu włosami. Miała na sobie przyduże ogrodniczki, obcisłą koszulkę w różowe pasy i wściekle różowe chodaki Crocs. Czułem się jak jej starszy brat, choć to ona była starsza ode mnie przynajmniej o pół roku i – pod pewnymi względami – o niebo dojrzała.

Przyjaźniłem się z Margot od pierwszego spotkania na studiach w Brooklyn Academy of Music. Kiedy wpadliśmy na siebie przy tablicy ogłoszeń uczelnianych, poprosiłem ją, by pożyczyła mi ołówek, i od razu się polubiliśmy. Wiosną 2005 roku spędziliśmy razem kilka weekendów, podczas których omal nie zostaliśmy kochankami. Niestety, zanim wyplątałem się ze związku z Cindy, „pianistką z syndromem napięcia przedmiesiączkowego”, jak ją nazywała Margot, zaczęła randkować z Estebanem, kubańskim tancerzem o gorącym temperamentem. Tak więc nasza zażyłość nigdy nie wykroczyła poza wspólne wylegiwanie się na kanapie przy czerwonym winie i koncertach fortepianowych Beethovena albo starych albumach Dire Straits. Poznaliśmy siebie tak dobrze, że wspólne pójście do łóżka wydawałoby się nam kazirodztwem.

– Widziałem sąsiadów z parteru – oznajmiłem.

– O! I kto to?

– Parka po trzydziestce. Wyglądają na konserwatywną inteligencję. I chyba są nadziani.

– Tu mogą mieszkać tylko bardzo nadziani. Musisz mieć brylanty w podeszwach butów, nie to co u mnie na Trzynastej Wschodniej.

– Masz cudowne poddasze. Jest magiczne jak Narnia.

– Jasne. Roi się w nim od magicznych, inteligentnych gryzoni.

– Słuchaj, chcę ci podziękować za pomoc... może pójdziemy dziś do Cafe Cluny? – zaproponowałem.

Rozejrzała się po wnętrzu z wysokim białym sufitem i lśniącym dębowym parkietem.

– Wiesz co, Lalo? Temu mieszkaniu potrzebna jest kobieta. I tobie też, szczerze mówiąc. Faceci nie mogą żyć wyłącznie pisaniem muzyki dla telewizji, nawet tacy, którzy robią idealnie okrągłe naleśniki.

Spojrzałem na nią. Drzewa z dworu rzucały na jej policzek roztańczone cienie.

– Przecież mam ciebie.

– Owszem – odparła. – Ale potrzebujesz namiętności. Niebezpieczeństwa. Kobiety, która zmywa gary nago.